

Ks. Marek Starowieyski

INSTYTUT FILOLOGII KLASYCZNEJ

WYDZIAŁ POLONISTYKI UNIwersYTETU WARSZAWSKIEGO

O STAROCIACH, CZYLI CZEGO MOŻEMY SIĘ NAUCZYĆ OD STAROŻYTNEGO KOŚCIOŁA

Często ludzie mi mówią: po co zajmować się tymi starociami, zajmij się czymś bardziej pożytecznym. Albo: Weź się za porządną pracę duszpasterską i nie siedź w tych szpargałach. Kto ma rację, oni czy ja, zajmując się światem starożytnego Kościoła? Inaczej: Czy z tej pracy może mieć ktokolwiek jakikolwiek pożytek?

Zacznijmy od przekornego pytania: A może oni mają rację?

Kościół jest organizmem żywym, a więc w nieustannym rozwoju. Kościół starożytny jest pierwszym etapem tego rozwoju, jest to okres dzieciństwa Kościoła. Z tego zaś logicznie wynika, że jak człowiek starszy jest bogatszy od dziecka o doświadczenia, tak i my jesteśmy bogatsi od Kościoła starożytnego o doświadczenia dwudziestu wieków, o rozmyślanie, przeżywanie, przemodlenie i wprowadzenie w życie słów Chrystusa, bogatsi o zwycięstwa i porażki. Dorosłemu człowiekowi, cofającemu się do dzieciństwa, grozi zdziecinnienie.

Podajmy kilka przykładów: w starożytności nie znano tak podstawowych elementów życia współczesnego jak kult Eucharystii, spowiedź uszna, rodziła się dopiero pobożność maryjna i zakony – można by podać wiele przykładów. A ponadto, ileż w starożytności było obyczajów związanych tylko z tamtymi czasami, ileż jest plewy w pismach Ojców Kościoła, ile prymitywizmu w malarstwie katakumbowym, iluż świętych, których życia lepiej nie stawiać dzisiejszym wierzącym za przykład, jak choćby stylitów mieszkających na słupach, lub dendrytów – w drzewach itd., itd. A więc niebezpieczne jest bezmyślne odwoływanie się do starożytnego Kościoła, archeologizowanie liturgii, często dokonywane przez ludzi nie mających pojęcia o Kościele starożytnym oraz, popularne w niektórych kręgach, przenoszenie we współczesność zanikłych tradycji lub idealizujące stawianie za wzór starożytnego Kościoła.

Ale z drugiej strony...

Późna starożytność to okres wyjątkowego wprost napięcia religijnego, i to nie tylko w świecie chrześcijańskim, ale także w pogańskim. Nauka Chrystusa padła bowiem wśród ludzi, dla których sprawa Boga była najważniejsza, a religia stała u podstaw wielu ważnych posunięć politycznych, a nie odwrotnie. Chrześcijaństwo padło na glebę spulchnioną, dobrze przygotowaną religijnymi misteriami, gorącym pragnieniem spotkania Go. Gdy więc nadeszła pełnia czasów (Ga 4,4), a ludzie zmęczeni ekstatyczno-orgiastycznymi teozofiami, teurgiami i pustymi mitemi szukali mocnego oparcia, pokoju i miłości, znaleźli je w chrześcijaństwie.

Tę żarliwość podzielali także pierwsi chrześcijanie, dla których sprawa Boga była bezwzględnie najważniejsza i za nią, gdy zajdzie potrzeba, należało oddać życie. Tu także leży klucz do zrozumienia zażartych sporów teologicznych, dla nas – powiedzmy szczerze – często niezrozumiałych, entuzjazm pierwszych mnichów – jeden z francuskich pisarzy nazywa ich *hommes ivres de Dieu* – i heroizm męczenników, ale także i zaciekłość prześladowców.

W ten głęboko religijny świat późnej starożytności wchodzi chrześcijaństwo, które naukę Ewangelii opiera na dwóch filarach: na judaizmie i na kulturze antycznej.

W świecie starożytnym istniała głęboka pogarda dla Żydów, a przecież Jezus i apostołowie byli Żydami i działali w środowisku żydowskim. Aby jednak ponieść Ewangelię do wszystkich ludzi ówczesnego świata wedle nakazu Jezusa (Mt 28,19), najbardziej logiczne byłoby, skoro nie można się wyzbyć swych judaistycznych korzeni, położyć nacisk na bezwzględną nowość Ewangelii i odciąć się – jak chcieli niektórzy – lub przynajmniej nie kłaść nacisku na związki z Izraelem. Pierwsi chrześcijanie jednak, wierni nauce Jezusa, wbrew ówczesnej poprawności, nie zaparli się swoich starotestamentalnych korzeni, wręcz prze-

ciwnie, podkreślali je, nazywając Kościół nowym Izraelem. Przyjmując Stary Testament, odczytywali go jednak w świetle Nowego, tj. w świetle nauki i postaci Jezusa Chrystusa, wskazując na wypełnienie się na Nim prorocstw i odkrywając nowe, niedostrzeżone bogactwa Starego Przymierza i to, że obydwie Testamenty stanowią jedno Pismo Święte.

To Pismo Święte stanowi bowiem jedno święte słowo Boże, które wyszło z ust Przedwiecznego, słowo Boże skierowane do całej ludzkości i do każdego człowieka z osobna. W jego świetle pierwsi chrześcijanie rozwiązywali problemy zarówno człowieka indywidualnego, jak i całego Kościoła i ludzkości. Dlatego też wczytywali się oni żarliwie w Pismo Święte, modlili się nim, rozmyślali nad nim, „przeżywali je” – jak powiedzą pisarze monastyczni – a z tej modlitewnej lektury wyrastała teologia, liturgia, prawo, moralność, asceza. Chrześcijanie, z Pismem Świętym w rękę (niektórzy nawet znali je na pamięć) rozwiązywali problemy, które niosło im życie. Żadna epoka nie wczytywała się tak żarliwie w Pismo Święte, tak nim żyła i tak się nim karmiła, jak właśnie epoka wczesnego chrześcijaństwa. Ten sposób podejścia do Pisma Świętego, naprawdę świętego, jest wzorem dla nas wszystkich, z jedną małą poprawką – że dziś czytamy je, lub przynajmniej powinniśmy je czytać, w świetle 20 wieków Tradycji Kościoła, poczynając właśnie od tradycji Ojców Kościoła, o których będzie mowa za chwilę.

A więc wbrew ówczesnym tendencjom, Kościół mocno potwierdził swój związek z Izraelem. Ale przecież Chrystus nakazał mu iść do wszystkich narodów, a więc także do świata grecko-rzymskiego, głęboko pogańskiego, bałwochwalczego i w dodatku prześladowającego chrześcijan. A idąc do nich, musiał spotkać się także z jego kulturą, równie głęboko pogańską. Jaką postawę wobec niej miał zająć?

Pierwsi intelektualiści chrześcijańscy II w., Justyn i Klemens, dostrzegli antynomię i zrozumieli, że w tej ówczesnej kulturze za fasadą pogańską i antychrześcijańską znajdują się uniwersalne skarby, i że należy się do nich odnieść, nie porzucając fundamentów żydowskich i nie bacząc na tę fasadę: w nich bowiem zawierają się ziarna Boskiego Logosu. Była to epokowa decyzja: chrześcijaństwo nie stało się bowiem kolejną sektą „świętych” i „czystych”, nieskalanych kontaktem ze światem współczesnym (ileż to takich sekt powstało w ciągu dziejów!), a przyjmując wielką kulturę grecko-rzymską, odcięło się od ruchów sekciarskich potępiających ją w czambuł, i tak otrzymało niezrównane narzędzie do formułowania i głoszenia Chrystusowej nauki.

Ale ten system pojęciowy był zupełnie niezrozumiały dla ówczesnych pogan. Trzeba było więc przełożyć semickie pojęcia objawienia Bożego na język pojęć dostępny ówczesnym Grekom i Rzymianom. Musimy bowiem zdać sobie spra-

wę z faktu, że te dwa światy pojęć i wartości były sobie najzupełniej obce. Stały wobec siebie dwa światy i konflikt ich wydawał się nieunikniony. Koncepcja osobowego Boga, opiekującego się indywidualnym człowiekiem, wcielenie Chrystusa, ciała zmartwychwstanie, tajemnica Boga troistego a zarazem jedyne, chrześcijańskie pojęcie miłości, Eucharystia – to były pojęcia, których świat starożytny nie rozumiał i, co gorsza, zrozumieć nie chciał. I tu właśnie młode chrześcijaństwo wykonało ogromny wysiłek intelektualny przełożenia nauki Chrystusowej na język ówczesnych pojęć greckich i rzymskich. I dzięki nieprawdopodobnemu wprost trudowi Kościoła, który stopniowo wpisywał się w tę rzeczywistość, konflikt stopniowo ustawał. Ta hellenizacja chrześcijaństwa stanowiła jedno z wielkich osiągnięć myśli ludzkiej, o nieprawdopodobnych wprost konsekwencjach – dała ona chrześcijaństwu precyzyjne pojęcia wypracowane przez wieki kultury greckiej i rzymskiej, które pozwoliły na dynamiczny rozwój myśli chrześcijańskiej i chrześcijaństwa w ogóle i stały się narzędziem do ewangelizacji ówczesnego świata, a w końcu do stworzenia tego, co nazywamy kulturą europejską. Synteza myśli greckiej, prawa rzymskiego i miłości chrześcijańskiej wydała owoc w postaci naszej kultury europejskiej.

Otwarcie się na otaczający świat nie było jednak bezkrytyczne. Nie wszystko, co składało się na kulturę starożytną, mogło być przyjęte. Wielokrotnie chrześcijaństwo musiało odcedzać pojęcia starożytne filtrem Ewangelii. U pierwszych pisarzy chrześcijańskich widać to zmaganie się ze słowami; nieraz zdarzało się, że używanie słów i pojęć nieprecyzyjnych prowadziło do błędów, często istotnych dla nauki i życia chrześcijańskiego, z czego wynikały liczne starożytne schizmy i herezje; dyskusja z nimi przyczyniała się jednak do precyzowania myśli chrześcijańskiej, by coraz lepiej móc głosić słowo Boże. Cena powstania precyzyjnego języka teologicznego pozwalającego na zrozumiałe głoszenie Dobrej Nowiny była więc bardzo wysoka. Ale to się opłaciło!

Jeśli chrześcijaństwo otwarło się na świat pogański to jednak bez wzajemności. Stoimy wobec dwóch postaw: chrześcijaństwa – otwartego na dobro w świecie pogańskim i starającego się je zasymilować, i świata pogańskiego – hermetycznie zamkniętego na chrześcijaństwo, widzącego w nim tylko fanatyzm, głupotę i zabobon, nierozumiejącego, że idzie nowe. Chrześcijaństwo ustami apologetów prosi, szuka porozumienia, deklaruje swą lojalność, modlitwę za cesarzy; świat pogański pogardliwie je odrzuca, odpowiadając prześladowaniem. To właśnie pycha intelektualna ludzi starożytnych prowadzi do zbrodni, krwawych prześladowań tych, którzy bardziej cenili wiarę w Jezusa Chrystusa niż własne życie.

Wielkie starcie świata pogańskiego i chrześcijańskiego odbyło się na dwóch płaszczyznach: fizycznej i duchowej. Płaszczyzna fizyczna – to strasz-

ne prześladowania i tysiące męczenników; duchowa – to oszczerstwa, fala *fake news*, często płynących z kręgu ówczesnych elit, jak np. środowiska Marka Aureliusza. A jednak chrześcijanie nie obrazili się na ten wrogi im świat, nieśli mu Ewangelię i na obydwu polach zwyciężyli.

Przed chrześcijaństwem stanęła konieczność określenia siebie. W tym procesie miało ono do dyspozycji tylko Pismo Święte, szczególnie Ewangelię. Trudno jest nam, mającym do dyspozycji biblioteki dzieł teologicznych, orzeczenia synodów i soborów, wyniki wieków dyskusji teologicznych, zrozumieć trud tamtych ludzi, którzy mieli w ręku tylko Pismo Święte i narzędzia dostarczone przez ówczesną kulturę. Z ich pomocą musieli odpowiadać na własne problemy oraz problemy świata, do którego nieśli Ewangelię.

Kościół starał się zgłębić i rozwinąć naukę przekazaną przez Jezusa. Najpierw tajemnicę Boga jedyne a zarazem troiste, następnie tę Jezusa Chrystusa – Boga i człowieka; tymi problemami zajmował się Wschód skłonny raczej do abstrakcji. Praktyczny Zachód zajął się człowiekiem: grzechem pierwotnym, łaską i wolną wolą. A rozważano je z żarliwością właściwą tamtym czasom, ponieważ od nich zależało zbawienie człowieka. Przez roztrząsanie tych prawd Kościół starożytny położył fundamenty – na miarę swoich sił, często niedoskonale, uzupełniane potem przez następne wieki; niemniej staną się one punktem wyjścia całej późniejszej teologii Kościoła, i do nich się będzie on odwoływał. A więc podstawowym tematem teologii, którą sformułowali, jest Bóg i człowiek widziany w świetle nauki o Bogu (bo zawsze Bóg jest najważniejszy).

Kim byli ci, którzy tę naukę formułowali? Nazywamy ich Ojcami Kościoła, bo oni swoją pracą jakoby rodzili Kościół. Byli to biskupi, bo podstawową funkcją biskupa było głoszenie i bronienie prawdy. To oni, czując się często niezdolni do rozwiązywania trudnych problemów, zbierali się razem, by wspólnie określać to, co należy, a co nie należy do nauki Chrystusa – były to synody, potem zbierały się synody większych jednostek, w końcu sobory powszechne, które ustalały obowiązujące normy wiary i postępowania.

Im więc, ówczesnym biskupom, przypadła rola formułowania podstaw wiary katolickiej. Stworzyli oni model – można chyba tak powiedzieć – idealnego teologa: biskupa, duszpasterza, świętego, często nawet mistyka, a zarazem głębokiego myśliciela, traktującego badanie prawd o Bogu jako formę swej pracy duszpasterskiej. Ich teologia rodziła się z rozmyślenia i przemodlenia Pisma Świętego oraz wprowadzenia jego zasad w życie. „Jeśli jesteś teologiem, będziesz się prawdziwie modlił, jeśli będziesz się prawdziwie modlił, jesteś teologiem” – to była zasada uprawiania teologii patrystycznej. Dla starożytnego Kościoła bez tych trzech elementów: refleksji, modlitwy i ascezy nie ma teologii. Twórcy eu-

ropejskiej teologii w ogromnej większości zostali kanonizowani. Na marginesie dodam, że, o ile wiem, ostatnim kanonizowanym teologiem był Alfons Maria Li-guori, zmarły w 1787 r. Po nim, mimo pilnych poszukiwań papieża Jana Pawła II, nie znaleziono teologa godnego kanonizacji. Czy więc ta teologia, z którą obecnie mamy do czynienia, nie jest dziełem li-tylko sumiennych badaczy i tylko nauką o religii? I czy może w takim razie formować człowieka? I czy kryzys współczesnego Kościoła nie jest przypadkiem związany z kryzysem teologii, która przestała być wymaganą przez Vaticanum II *formatio theologica*?

Do tego dochodzi jeszcze jeden istotny element. Nie była to teologia biurkowa ani tworzona dla punktów – do czego zmusza się dziś nie tylko teologów, ale w ogóle pracowników naukowych – ale teologia dająca odpowiedź na ówczesne ludzkie problemy. Formułowali ją biskupi (bo oni byli głównymi teologami-głosicielami Ewangelii), odpowiadając w swoich kazaniach, katechezach, często głoszonych w czasie liturgii, w listach, w traktatach skierowanych do poszczególnych ludzi, zawsze na podstawie Ksiąg Świętych, które niejednokrotnie znali na pamięć. A więc teologia rodziła się w duszpasterstwie i dla duszpasterstwa, a z kolei duszpasterstwo kierowało się teologią, a ta odpowiadała na konkretne ludzkie problemy, które nam mogą się wydawać li-tylko teoretycznymi i słownymi, jak te w sporach ariańskich czy chrystologicznych, ale w końcu były związane z odpowiedzią na pytanie o ludzkie zbawienie. Dopiero późniejsza teologia zaczęła sama stawiać i odpowiadać sobie na postawione problemy. Ale ten sposób uprawiania teologii nie ma nic wspólnego z epoką patrystyczną.

Biskupi zaś byli głęboko przekonani, że porządne duszpasterstwo, katecheza, głoszenie słowa Bożego musi się opierać na porządnej teologii, dlatego też taki nacisk w ich nauczaniu na doktrynę. Nie ma bowiem duszpasterstwa bez dobrych podstaw teologicznych i nie ma porządnej teologii bez odniesienia do duszpasterstwa. Synody więc i sobory miały dwie części: doktrynalną i duszpasterską, czyli kanony, bo z nich składa się życie Kościoła.

Biskupi-teologowie wczesnochrześcijańscy wiedzieli, że przekazywać Ewangelię należy nie tylko w sposób dla wszystkich zrozumiały, ale i piękny. W świecie starożytnym, a szczególnie w greckim, kochającym piękne słowo, był to element niesłychanie ważny. I tu widzimy zadziwiający postęp: piśmiennictwo (bo jeszcze nie literatura) pierwszych chrześcijan jest bardzo proste, ale już w II w. rodzi się w Syrii poezja, w III w. mamy pierwszych wielkich pisarzy, wiek IV i V to wspaniały rozkwit literatury chrześcijańskiej, dominującej w ówczesnej kulturze, a na porywające kazania Grzegorza z Nazjanzu czy Jana Chryzostoma śpieszyli wszyscy, poganie i chrześcijanie. „Wszyscy Hellenowie owych czasów, choćby byli najwierniejszymi zwolennikami Akademii Platona, są barbarzyńskimi

partaczami, wobec tego syryjskiego chrześcijanina, który jako stylistą zasługuje na porównanie z Demostenesem”, pisał o Janie Złotoustym wielki – i bynajmniej nieszczególnie chrześcijański – hellenista Willamowitz. Piękno wyrażanego słowa Bożego stanowiło magnes przyciągający do wiary, wzbudzając ją i porywając słuchaczy. Głoszenie nauki Bożej językiem bełkotliwym czy hermetycznym nie znajdowało powodzenia, o czym teologowie ówczesni dobrze wiedzieli. Biedny Grek, biskup łacińskiej Hippony, który nie mógł swą bełkotliwą greko-łacina dotrzeć do swych owieczek, gdy tylko znalazł znakomitego i pobożnego retora Augustyna, szybko oddał mu pasterstwo, a sam się wycofał. Co było dalej wiemy – w V w. Hippona stała się centrum intelektualnym Afryki.

Ale Kościół dbał również o to, by słowo Boże było głoszone w pięknym otoczeniu. Kościół starał się dekorować przestrzeń sakralną: od prymitywnych obrazów katakumb, do wspaniałych mozaik, pięknej rzeźby sarkofagów, świetnej architektury, jak kościół Bożej Mądrości w Konstantynopolu. A w tych pięknie przystrojonych kościołach, w czasie liturgii, coraz wspanialszej na Wschodzie i na Zachodzie, przy coraz lepiej dopracowanym śpiewie, formowała się teologia, głoszona w pięknej formie przez świętych biskupów. I tak strona zewnętrzna i wewnętrzna harmonizowały się ze sobą. Kościół nie tylko w starożytności, ale także w ciągu późniejszych wieków, popierał sztukę, która rozwijała się pod jego skrzydłami. Jakże nam dziś tego mecenatu potrzeba! Byłoby ciekawe przestudować wpływ piękna na formowanie się teologii.

Wracamy więc do postawionego pytania: Czy możemy od starożytnego Kościoła czegoś się nauczyć? W opisanym przez mnie obrazie tylko niektórych aspektów Kościoła starożytnego starałem się na nie odpowiedzieć.

W 1976 r. pisał do mnie mój dawny przełożony z Watykańskiej Kongregacji do Spraw Wychowania Katolickiego, wielki humanista, kard. G.-M. Garrone:

Dziś bardziej niż kiedykolwiek Kościół odczuwa potrzebę sięgnięcia do źródeł Ojców. W ten sposób bowiem na wzór turysty górskiego pnie się w górę i pociąga nas za sobą ku szczytom, gdzie woda potoków jest czystsza i bardziej orzeźwiająca... Ileż bowiem naleciałości dziwacznych i często podejrzanych mąci dziś przejrzyście Słowa Bożego pod pozorem chęci ubogacenia go! Oddychanie na tych szczytach przynosi korzyść. Jest to konieczne. Tam bowiem odnajdujemy prawdziwy „smak źródeł”.

Powrót do Ojców Kościoła to nie idealizowanie tego pierwotnego Kościoła, w którym ówczesni ludzie grzeszyli podobnie jak dzisiejsi (kto nie wierzy, odsyłam do katalogów grzechów u św. Pawła czy do dwóch dróg w *Didache*). Ale jest

trochę tak, jak z naszą Wisłą: choć piękna i rozległa Wisła w Tczewie niesie wiele więcej wody niż przy swoich źródłach pod Baranią Górą, to jednak tam woda jest kryształowo czysta, podczas gdy w Tczewie trzeba ją filtrować. I takie jest zadanie badania tych „starych szpargałów”: korzystając z wielkości i rozległości teologii współczesnej, filtrować ją, jak radził kard. Garrone, tym czystym powietrzem początków, by znaleźć prawdziwy smak źródeł nauki Ewangelii i prawdziwy smak liczącej 20 wieków teologii.

I jeszcze kilka uwag osobistych.

Niedawno pytał mnie zaniepokojony młody ksiądz, jak pogodzić powołanie kapłańskie z pracą teologa. Odpowiedziałem tak, jak wiele razy mówił mi kard. Wojtyła: „Twoja praca naukowa, budowanie kultury teologicznej, jest twoim duszpasterstwem”.

Tak też sprawę postawiłem sobie na początku mojej pracy naukowej. Postępowałem tak, jak zwykł postępować proboszcz lub wikary przychodzący do parafii: sprawdziłem, czego brak dla studium patrologii. Stwierdziłem, że nie ma biblioteki – zabrałem się do zbierania książek i tak powstała wspomnianą w laudacji biblioteka; stwierdziłem, że polskiej nauce brak apokryfów – przełożyłem je na polski; stwierdziłem, że brak literatury monastycznej i ascetycznej pierwszych wieków – założyłem serię „Źródła monastyczne” i pod moją bliższą czy dalszą redakcją ukazało się 65 tomów, dziś ją przejęli młodszy i bardziej kompetentni ode mnie; zauważyłem, że brak tekstów patrystycznych dla głoszących kazania – wydałem 4 tomy tych tekstów; stwierdziłem, że poezja wczesnochrześcijańska w Polsce jest nieznaną – wraz z grupą poetów przygotowaliśmy trzutomową *summa poetica* wczesnego chrześcijaństwa, a korzystając z pobytu w Libanie przełożyłem *Proroka* i antologię dzieł poetyckich arabskiego poety maronickiego, Khalila Gibrana. Tak było również z innymi moimi publikacjami itd.

To jest motyw religijny mojej pracy, ale jest i inny: społeczny. Wraz z moim bratem, tu obecnym, jesteśmy już ostatnimi naocznymi świadkami etosu ziemiańskiego. A do niego należała praca dla ojczyzny i danie czegoś z tego, co posiadaliśmy. Mój pradziadek i dziadek bronili polskich interesów w Parlamencie Austriackim, w tym czasie babcia organizowała kobiety ziemi sanockiej – i te ze dworu, i te ze wsi. Ich dzieci: błogosławiony Stanisław, człowiek zamożny, który, sam żyjąc skromnie zorganizował za swe pieniądze duszpasterstwo w ziemi lubelskiej, przyszłą Akcję Katolicką; jego siostra Maria zorganizowała pielęgniarki krakowskie, ich siostra, Zofia Starowieyska-Morstinowa wraz z ks. Piwo-

warczykiem, na zlecenie kard Sapiehy, organizowała „Tygodnik Powszechny”; moja chrzestna, Róża Łubieńska stworzyła „Patronat więzienny” w celu opieki nad więźniami w Krakowie. Ze strony mojej matki, mój prapradziadek, poeta Kazimierz Brodziński, organizował Uniwersytet Warszawski i był profesorem na polonistyce – tym samym wydziale, na którym i ja byłem profesorem – a ponadto pisał teksty pieśni kościelnych (np. *Upadnij na kolana*); mój przybrany dziadek, Michał Komorowski, prezes Towarzystwa Wyścigowego, zbudował tor wyścigowy na Służewcu.

Przepraszam, że nie mogę wszystkim tu obecnym imiennie podziękować, po prostu lista byłaby bardzo długa. Jednak chciałbym przynajmniej niektórym wyrazić wdzięczność za obecność.

Dziękuję Wysokiemu Senatowi Papieskiego Wydziału Teologicznego w Warszawie za to najwyższe odznaczenie, jakie może otrzymać pracownik naukowy – Doktorat *honoris causa*, który uważam za wyjątkowe wyróżnienie, choć chciałbym stwierdzić, że wszystko, co zrobiłem, było tylko realizacją mojego powołania, a przy tym przynosiło tę radość, jaką daje praca naukowa. Szczególne podziękowanie należy się Ich Magnificencjom Księżom Rektorom: ks. prof. Krzysztofowi Pawlinie i ks. prof. Zbigniewowi Kubackiem SJ.

Dziękuję tu obecnemu ks. kard. Kazimierzowi Nyczowi oraz wszystkim obecnym arcybiskupom i biskupom: moim kolegom bądź moim uczniom.

Dziękuję moim nauczycielom: ks. infułatowi Stanisławowi Kurowi i ks. bp. Kazimierzowi Romaniukowi.

Dziękuję prof. B. Gain, profesorowi Uniwersytetu w Grenoble.

Dziękuję mojej rodzinie przybyłej tu, szczególnie zaś bratu.

Dziękuję za obecność moim kolegom: Andrzejowi – z 5 z kolei szkoły w Porąbce i Wojtkowi, Andrzejowi, Jackowi i Jankowi, kolegom z matury 1954 r. w Liceum S. Staszica w Sosnowcu (w mojej 11 i ostatniej szkole!), a także dyrektorowi tegoż Liceum, który specjalnie przybył na tę uroczystość, oraz członkom Stowarzyszenia Wychowanków Staszica w Warszawie.

Dziękuję Seminarium Warszawskiemu, w którym zaczynam 53. rok pracy (od 1965 r.), w którym spędziłem większą część mojego życia i wszystkim, wszystkim księżom, których uczyłem – nie wiem, ile ich nauczyłem, ale wiem, że od nich także bardzo dużo sam się nauczyłem.

I w końcu chciałbym podziękować Instytutowi Filologii Klasycznej UW, w którym rozpocząłem studia w roku 1954 i który mnie, dla którego nie było

miejsca na innych uniwersytetach, powołał na profesora i w którym nadal, mimo przejścia na emeryturę, prowadzi jeszcze wykłady zlecone.

Chciałbym zakończyć słowami, którymi konsulowie rzymscy przekazywali urząd swoim następcom. Liczę bowiem, że tu, na sali, znajdują się tacy, którzy kiedyś otrzymają, po latach dobrze wykonanej pracy, taki sam doktorat. A więc: „Feci quod potui, faciant meliora potentes”, co, parafrazując, znaczy: Uczyniłem to, co mogłem, niech moi następcy kontynuują to lepiej...